Nr. 16. Lwów, 15. sierpnia 1903. (Wydany 21. sierpnia 1903). Rok XXVI.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Wpisali się do Towarzystwa łowieckiego:

1. Kimellman Bernard
2. Krasicki hr. Edward
3. Łączyński hr. Gustaw
4. Mandyczewski Włodzimierz
5. Michniewski Stanisław
6. Radziwiłł ks. Dominik
7. Tułecki Jan

Najwięksi wrogowie drobnej zwierzyny.

Przez
Artura hr. Sumińskiego.

W niektórych okolicach Galicyi i to przeważnie tych, gdzie stan drobnej zwierzyny nie należy do najlepszych, wrony i sroki cieszą się zupełną wolnością w wykonywaniu swych zbrodni, rozmnażając się rok rocznie coraz bardziej. Jeżeli w kraju, w którym klimat i wylewy dziesiątkują nam zające i kuropatwy, pozwalamy wronom i srokom niszczyć bezkarnie jeszcze pewien procent tej zwierzyny, to nie dziwny się, gdy na polowaniach zimowych w takich okolicach jest jej coraz mniej.

Przyznaję, że ziemia zimna i klimat nasz ostry nie przyczynia się do poprawy zwierzostanu, przyznaję, że wylewy niszczą dużo, lecz wierzcie panowie, którzy obojętnie patrzycie na wrony i sroki, plądrujące po waszych polach, że największy procent zający i kuropatw ginie

pod razami dzióbów tych nieubłaganych ich wrogów, które nietylko na wiosnę wytłuką marczaki, podstawę stanu zajęczego, ale i wybiorą kuropatwy co do nogi ze stada, jeżeli już poprzednio nie zniszczyły jaj, wyparowawszy starki z gniazd. Wiosny ostatnich kilku lat były wodą na młyn tych zbrodniarek, które w tym czasie z łatwością odnajdują gniazda i marcowe zajączki nie mogące się jeszcze ukryć w tych kusych ziemiopłodach.

Trzy są przedstawicielki rodu wroniego, z których żadnej nie można ofiarować palmy pierwszeństwa w niszczeniu zwierzyny, bo wszystkie trzy równie są zajadłe i szkodliwe, mianowicie sroka, wrona czarna i wrona siwa. Trzecia odmiana wrony, także czarna, tak zwany gawron, (Corvus frugilegus), jest dla myśliwstwa zupełnie nieszkodliwa, dla rolnictwa zaś częścią pożyteczna, częścią szkodliwa. Żyje ziarnem i owadami, a nawet do ścierwa idzie tylko dlatego, że tam są owady. Niestety niełatwo ją odróżnić od wrony czarnej, która równie jest drapieżna, jak siwa. Gawron ma na głowie i szyji piórka, kończące się okrągło, koło dzióba, prawie po oczy jest nieopierzony, a dziób jego jest długi i prosty, gdy wrona czarna (Corvus corone) ma dziób krótszy, więcej zakrzywiony, koło dzióba dobrze opierzona, a piórka na szyi i głowie są ostro zakończone. Zresztą obydwie te odmiany nie różnią się ani kolorem, ani wielkością. Niema jednak wielkiego nieszczęścia, jeżeli jedna za drugą polegnie, niechby tylko raz wojna ogólna została im wypowiedziana i to ogniem i mieczem!

Przez blisko trzy pory roku wrony, czarna i siwa, przebywają w polu i lesie. Co do tego ostatniego, to wolą one laski mniejsze wśród pól, niż większe obszary i przez ten czas można widzieć, jak sama, lub później w licznem towarzystwie, przechadza się po zbożach, gdy zaś te podrosną, po kartoflach, na brzegach pól i łąk, koniczyn i po miedzach, aż do późnego wieczora, a wtedy biada młodemu zajączkowi, jeżeli się pokaże. Gdy chce on przejść z jednego stajania w drugie i zjawi się na miedzy na chwilę, namyślając się, w którą stronę się wybrać, już cała ta czarna gromada, wpada na niego, wrzeszcząc przeraźliwie i jest tu wyjątek, jeżeli ujdzie śmierci. Wyjątek powtarzam, bo na to potrzeba tam człowieka, który przechodząc przypadkiem przeszkodzi rabusiom — inaczej ścigając go teraz już na oko, nawet w zbożach, wydłubawszy mu najpierw patry, zabijają i rozćwiartują. Tak cały prawie dzień przechadzają się te szkodniki, szukając sobie wciąż pożywienia. Zjedzą one niekiedy i mysz, nawet pędraka, ale czynią to wtedy, gdy niejako stół mają nakryty, za pługiem podczas orki, a przeważnie pędraków nie kopią, mysz zaś dziesięć razy im ucieknie do dziury, więc szukają gniazd, które niszczą doszczętnie lub młodych ptaków albo zajęcy. Do wsi prawie nie przychodzą. chyba po to, aby porwać kurczę lub kaczaka, a dopiero, gdy pierwsze śniegi spadną, zjawia się ta chmara czarna, żywiąc się, czem może, bo głodna. Ptaków młodych już nie ma, i zajęcy również, bo te, które uszły przed ich razami wyrosły, a starego zająca zdrowego nie odważą się zaczepić i to znów tylko dlatego, że im ucieknie — gdy postrzelony, to i z takim sobie dadzą radę. We wsi zaś przed chałupami lub we dworze, wszędzie znajdują jakieś odpadki, choćby w ostateczności nawóz koński na drogach.

Sroka (Pica caudata) ruchliwszą jest od towarzyszek, i gdy wrona więcej piechotą chodzi, ta więcej lata i więcej się rusza. Czasami wrona siedzi godzinami na drzewie nieruchoma, osobliwie w zimie, sroka zaś rzadziej, chyba pod wieczór, gdy już senna. Za to kręcąc się, jak fryga łatwiej odnajduje gniazda małych śpiewaków i te niszczy skwapliwie, a gdy zobaczy małego zajączka lub kuropatwy, takiego hałasu narobi, że wrony natychmiast się znajdą i z całą uprzyjmością dopomogą przyjaciółce. Sroka prócz tego jest cierpliwszą i może sprytniejszą w wykonywaniu swych zbrodni od wrony. Gdy n. p. spotka młode kuropatwy, które na znak starki, że grozi im niebezpieczeństwo, rozpierzchnąwszy się na wszystkie strony, przypadną do ziemi, póty szuka i chodzi za niemi, aż ich znajdzie, wrona zaś poluje namiętnie i krwawo, jak długo widzi, gdy zaś ofiara jej skryje się dobrze, odlatuje i szuka nowej widocznej ofiary. Sroka, gnieździ się przeważnie na drzewach we wsi, lub jej bliskości, wrona zaś woli brzegi lasów, lub małe laski w polach, a w tym czasie obie są najgorsze, bo znosząc młodym pożywienie, mordują dużo i co mogą.

Ażeby raz położyć kres tym zbrodniom, a przynajmniej stan srok i wron zmniejszyć, potrzeba jest przedewszystkiem akcyi wspólnej, bo nie wiele pomoże pan A., który tępi drapieżców, jeżeli pan B. sąsiad prawie je choduje. — Sposoby do tępienia ich, to wyznaczenie strzałowego i wymaganie od straży leśnej, by je tępiła, wybieranie i niszczenie gniazd na wiosnę, a radykalniejszy środek, łapanie ich zimową porą i trucie.

Do łapania wron doskonałe są funciki. Są to lejki z papieru, w których cieńszym końcu umieszcza się ponętę pod postacią kawałka mięsa lub rybki, albo chleba, brzeg zaś u szerszego ich końca wewnątrz posmarowany jest lepem ptasim. Te funciki wsadza się w śnieg przy drodze lub domu, wrona zaś chodząc, zwabiona przynętą, zagląda ciekawie do lejka i wnet dziobem sięga po przysmak, a wtedy pióra jej przylepiają się do papieru i wronisko wystraszone porywa się, lecz leci nisko na oślep, bo nic nie widzi i łatwo ją schwytać, a ukarać należy bezwzględnie śmiercią, za wszystkie zbrodnie popełnione.

Do trucia wron są preparaty doskonałe we formie rybek zatrutych, krwi zatrutej i inne, ogłaszane w gazetach łowieckich, które rozrzuca się po polach, a wtedy giną ich masy. Ta trucizna ma i tę zaletę że innym zwierzętom nie szkodzi. Wiem o wypadku, gdzie pies chłopski, włóka, podjął ogromną dozę, bo około 80 takich rybek i tylko chorował kilka dni, a potem niestety wyzdrowiał. Kto może truć strychniną, to jeszcze lepiej, z tą trucizną trzeba jednak wielkiej ostrożności, bo strychnina zabójczą jest dla wszystkich, i ludzi i zwierząt.

WYSTAWA PSÓW.

W sprawie warszawskiej wystawy psów, o której podaliśmy wiadomość w poprzednim numerze, umieścił w najświeższym numerze „Łowca polskiego“ p. August Sztolcman uwagi, które sądzimy, że zainteresują naszych czytelników, tem bardziej, że niedługo powinien i u nas nadejść czas, w którym o jakimś przeglądzie krajowego materyału psiego pomyślećby należało. Uwagi te są następujące:

„Urządzanie wystaw psów rasowych spowodowane zostało trzema następującemi względami: po pierwsze,

daniem hodowcom i amatorom wskazówek, przez umiejętną ekspertyzę, jakie egzemplarze są najodpowiedniejsze do reprodukcyi; powtóre, daniem tymże hodowcom możności publicznego popisu i ułatwieniem sprzedaży wyhodowanego materyału; potrzecie nareszcie, obznajmieniem metodą poglądową szerszych kół publiczności z różnemi rasami psów i zachętą tejże publiczności do utrzymywania psów rasowych.

Wszystkie te trzy względy wymagają znowu, ażeby na wystawy przyjmowano psy wyłącznie ras ustalonych, których typowe cechy zostały ustanowione i przyjęte przez główne, europejskie towarzystwa miłośników psów.

Jeżeli zaś komitety, urządzające wystawy dla ilościowego ich powodzenia, uznają za stosowne przyjmowanie także mieszańców lub psów, nienależących do żadnej z ustalonych ras, to psy te powinny być wystawiane w osobnym oddziale i w żadnym razie nie mogą być nagradzane.

Do powtórzenia tych, powszechnie zresztą znanych, uwag, skłoniła mnie wyczytana w gazetach wiadomość o pomieszczeniu na warszawskiej wystawie, pomiędzy s. bernardami, jednego psa rasy leonberskiej, czy hernberskiej i co ważniejsza o nagrodzeniu tego psa medalem bronzowym. Zanim wykażę, skąd się wzięły owe reklamowane przez niemieckich hodowców, leonbergery, hernbergery i berghundy, muszą przedewszystkiem, w możliwem skróceniu, opisać historyę utworzenia obecnej rasy s. bernardów, gdyż między obydwiema temi kwestyami istnieje ścisły związek.

Kiedy właściwa, dawna rasa s bernardów wyginęła doszczętnie w klasztorze, skutkiem zmniejszonej płodności i chorób, wywołanych ciągłem łączeniem psów w najbliższem pokrewieństwie, pozostała w Szwajcaryi, poza obrębem klasztoru, pewna ilość psów, pochodzących od tych s. bernardów, które zakonnicy sprzedawali lub rozdarowywali, jako nadkompletne. Właściciele ich jednak, dla odświeżenia krwi, ażeby je zabezpieczyć od losu psów klasztornych, musieli je krzyżować z innemi dużemi rasami, tak, że w pierwszej połowie zeszłego stulecia czyste s. bernardy już nie istniały. Gdy jednak w owym czasie zamiłowanie do tej ginącej rasy wzrosło, starano się ją odbudować z pozostałych, najlepszych resztek, przyczem znowu nie obeszło się bez krzyżowań.

Nowo odbudowana rasa dostała się ze Szwajcaryi do graniczących z nią prowincyj niemieckich, a następnie i do Anglii. Anglicy zmienili nieco ustanowione przez Szwajcarów cechy typowe, kładąc wiekszy nacisk na dobry rysunek głowy i na wielkość, co musiało spowodować nowe krzyżowania. W rezultacie stworzono nową, dość dobrze ustaloną rasę, lecz różniącą się znacznie, szczególnie wielkością, od dawnych prawdziwych s. bernardów.

Wiadomo, że przy podobnem odbudowywaniu, czy wytwarzaniu z pomocą krzyżowań nowej rasy, do reprodukcyi używa się tylko te produkty krzyżowania, które zupełnie odpowiadają przyjętym z góry cechom typowym, resztę zaś brakuje się. Podobne sortowanie trwać musi aż do zupełnego ustalenia rasy, a procent brakowanych osobników, szczególniej w początkach, musi być bardzo znaczny; to znów pociąga za sobą duże koszta na wykarmianie pewnej ilości szczeniąt, które następnie nie mają żadnej wartości.

Taki stan rzeczy bardzo się nie podobał niejakiemu panu Essig, hodowcy s. bernardów w mieście Leonbergu, w Wirtembergii. To też wpadł on (około roku 1870) na szczęśliwy dla siebie pomysł, ażeby z owych odpadków od nieustalonej jeszcze dostatecznie w owym czasie, rasy s. bernardów, utworzyć nową rasę i pod nazwą leonberskiej, puścił w handel po cenie zniżonej. Pan Essig nie zrażał się tem zupełnie, że sprzedane przez niego leonbergi, nie były jednego typu, że każdy z nich przypominał inną z ras, służących do odtwarzania rasy s. bernardów, i że ich potomstwo znowu nie będzie podobne do swych rodziców. Korzystał tylko ze znacznego popytu na psy wielkie i z nieświadomości kupujących, którzy dali się łapać na szumne reklamy. Przykład ten nie mógł pozostać bez naśladowców. Wkrótce p. Friedrich, właściciel hodowniczego zakładu w Zahna w Saksonii, wypuścił na targowisko podobną i z takiego samego źródła pochodzącą, niby nowoutworzoną rasę, którą nazwał berghundami, a za jego śladem poszedł i p. Bergman z Waldheimu, który znowu sprzedawane przez siebie pokurcze ochrzcił jakąś inną nazwą, ale z konieczną cząstką *berg*. Nie pamiętam może to były właściwe hernbergi. Tym sposobem, w krótkim czasie, pojawiły się aż trzy odmiany niby nowej, niemieckiej rasy psów górskich. Odmiany te, oprócz podobnego pochodzenia, miały jeszcze to wspólnego, że pojedyncze osobniki każdej z tych odmian były różno typowe i że ich potomstwo w żaden sposób nie chciało być podobne do rodziców. To też kynologiczne towarzystwa Anglii, Francyi, Belgii i Hollandyi, a nawet cztery najpoważniejsze towarzystwa niemieckie, nie dały się złudzić ani szumnemi reklamami, ani portretami najlepszych psów, wyprodukowanych przez powyższych hodowców, ani rysunkiem idealnego leonbergera, wykonanym przez malarza p. A. Kull'a, i wszystkie te towarzystwa dotąd nie uznały żadnych bergów, ani bergerów za ustaloną rasę i stale przed niemi zamykają wrota swych wystaw. Na wystawach w Petersburgu i Moskwie różne leonbergi i berghundy pomieszczano dotąd w osobnym oddziale pod nazwą psów górskich, ale już w roku zeszłym ogólne zebranie Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa, na wniosek trzech wybitnych znawców ras psów, postanowiło na przyszłość psów tych na wystawy nie przyjmować, przynajmniej do czasu, dopóki nie zostaną uznane za ustaloną rasę przez najpoważniejsze towarzystwa europejskie.

Niejeden z czytelników „Łowca Polskiego“ pomyśli zapewne: czyż warto było tyle się rozpisywać z powodu jednego jakiegoś psa na wystawie? Otóż mojem zdaniem warto i jeszcze raz warto. Mnie nie chodzi zupełnie o owego leon- czy hernbergera, którego nigdy nie widziałem i który, jako pies wogóle, a nie jako przedstawiciel określonej rasy, może jest bardzo ładny; mnie chodzi o kwestyę zasadniczą, dla której ten pies jest wyborną ilustracyą. Od lat czterech w „Łowcu Polskim“ i w „Kalendarzu Myśliwskim“ dowodziłem bezustannie, że tylko peryodycznie urządzane wystawy, mogą u nas podnieść hodowlę i rozbudzić w szerszych kołach zamiłowanie do psów rasowych. Teraz kiedy te życzenia spełnione zostały, pragnąłbym, żeby nasze wystawy jeżeli nie ilościowo, to pod względem urządzenia, klasyfikacyi psów i umiejętnej ekspertyzy, dorównywały najlepiej urządzonym zagranicznym. Zwiększenie się ilości okazów na wystawach przyjdzie samo przez się.

W końcu nadmienić muszę, że uwagi powyższe nie dotyczą zupełnie atestatów pochodzenia. Psy i bez atestatów mogą być przyjmowane na wystawy i pomiesz-

czane w odpowiednich oddziałach, byle zewnętrznym wyglądem odpowiadały cechom typowym, dla danej rasy ustanowionym. Tylko psy takie, choćby najpiękniejsze, nie mogą być odznaczane nagrodami wyższemi ponad list pochwalny. Owe zaś kupowane w Niemczech leonbergi i berghundy zwykle sa zaopatrzone przez hodowców w bardzo szumne atestaty, a jednak miejsce ich na wystawach, jako psów, nienależących do zadnej z uznanych ras, jest między mieszańcami i te psy nie mają prawa rościć pretensyi do jakichkolwiek odznaczeń.

Z obcych światów.

Polowania na grubego zwierza w Afryce środkowej, Edwarda Foà.

Przed dwoma laty zmarł w sile wieku sławny francuski badacz i myśliwy, Edward Foà.

Niepohamowany zapał, który go pchał do krajów podzwrotnikowych, stał się przyczyną jego przedwczesnej śmierci.

Edward Foà pomimo młodego swego wieku, odbył kilka podróży dookoła Afryki, a całą środkową przeszedł pieszo w poprzek od morza do morza. Nikt więc lepiej od niego nie poznał tych tajemniczych krain, a przynajmniej nikt nie miał tak rozległego porównawczego poglądu, gdy chodziło o przedstawienie obrazowe różnych afrykańskich zakątków.

Jako korespondent Muzeum historyi naturalnej i wysłannik francuskiego ministeryum oświaty, Edward Foà miał odpowiednie przygotowanie przyrodnicze, które rozszerzył i pogłębił w czasie swych myśliwskich wycieczek i przy gromadzeniu niezmiernie bogatych zbiorów, przesłanych następnie do kraju.

Ale przedewszystkiem był Foà znakomitym strzelcem, tak zamiłowanym w swoim fachu, tak gotowym do wszelkich dla tej sztuki ofiar i poświęceń, że mimowoli zapałem swoim oddziaływa na czytelnika i budzi sympatyę dla swej zimnej krwi i odwagi.

W ostatnim swoim dziele opisuje autor właśnie owe przejście wpoprzek Afryki, o którem powyżej wspomnieliśmy. Ze strzelbą na ramieniu odbył on tę drogę pieszo w ciągu lat trzech, pożegnawszy bowiem ocean Indyjski w r. 1894, powitał ocean Atlantycki dopiero w r. 1897.

Plan drogi był następujący:

Wyszedłszy z Chinde (przy ujściu Zambezu, największej rzeki na wschodzie południowej Afryki) w sierpniu 1894 r., przeszedł po przekątniej kraj murzyński, zwiedzając kolejno Górny Zambez, kraj Barotse, kraj jezior Bangueolo, Nyassa, Tanganyika, część kraju Katanga, górne, średnie i dolne Congo i przybył wreszcie do francuskiego Congo, do Librville w październiku 1897 r., a do Francyi w styczniu 1898 r., po 42 miesiącach podróży.

W dziele tem jednak nie trzyma się ściśle chronologicznego porządku, lecz opisuje swe przygody w miarę pokrewieństwa ich treści, unikając przytem powtarzań, któreby nużyły czytelnika.

E. Foà wyruszył na tę wyprawę w towarzystwie dwóch swych rodaków, pp. de Borely i Bertranda, którzy jednak nie wytrzymali trudów podróży i wrócili się z połowy drogi.

Cała droga, przebyta przez naszego autora, wynosi 12.000 kilometrów, z których większa część przypada na okolice zupełnie dzikie.

Owocem zaś podróży były, oprócz bogatych zbiorów, przesłanych paryzkiemu Muzeum, różne spostrzeżenia astronomiczne, magnetyczne, klimatologiczne, etnograficzne i antropologiczne, nie licząc mnóstwa szkiców i fotografij, w znacznej części zużytkowanych w wydanem przez niego dziele.

Mając zamiar wydać część ściśle naukową oddzielnie, poprzestał tymczasem autor na stronie opisowej i na przygodach myśliwskich z dodatkiem ciekawych szczegółów, dotyczących życia i obyczajów wielkich zwierząt afrykańskich.

Pięćset sztuk tych przeważnie niebozpiecznych wrogów rodu ludzkiego padło pod ciosami naszego strzelca. Wątpić należy, czy ktokolwiek inny może poszczycić się podobnemi trofeami!

Dzieło, o którem mówimy, wydała po polsku i zaopatrzyła przedmową p. Juliana Ochorowicza Biblioteka dzieł wyborowych. Podamy kilka wyjątków z tego interesującego opowiadania, które zachęcą naszych czytelników do zapoznania się z całem dziełem.

W pierwszym rozdziale mówi autor o broni i przyborach, jakie ze sobą do Afryki zabrał.

Zostawiamy mu głos:

„Zamierzyłem polować na słonie, nosorożce, hippopotamy, lwy, lamparty, pantery, żyrafy, antylopy najrozmaitszego gatunku, a także na dziki, oraz hyeny i mnóstwo drobniejszych mięsożernych.

Już raz wypowiedziałem zdanie moje o broni grubego kalibru. Nie ma potrzeby kupowania ani 128 kalibru, ani 88 żłobkowanego, chyba wtenczas, jeśli spodziewamy się znaleść wielką ilość słoni w danej miejscowości. Krainy takie, niestety, są coraz rzadsze.

Czasem jednak broń taka może być użyteczną

Skoro miałem nadzieję, że napotkam słonia, brałem na wszelki wypadek karabin podwójny 8 kalibru żłobkowany i 200 naboi.

Posługiwałem się głównie dwoma karabinami podwójnymi (express) 577 kalibru. Jeden z nich zrobił wedle moich wskazówek znany rusznikarz, M. Galand.

Poleciłem nieco zmniejszyć kaliber w przedniej części lufy, powiększyć jej grubość i trochę skrócić lufę. Celownik duży, okrągły i potrójne zamknięcie — top-lever.

Chciałem przedewszystkiem mieć broń mocno zbudowaną. Ów express N. I tak był doskonale wykończony, że po trzech i pół latach polowania, przy ciągłem użyciu i wystrzelaniu siedmiuset naboi, trzeba go tylko było po powrocie oczyścić i nic więcej. O sile strzału czytelnik przekona się dowodnie z opisu w dalszych rozdziałach niniejszej pracy.

Express N. I waży 5 kilogramów 0,30, karabin N. 3, również fabryki Galanda, służył mi podczas polowań w 1891 i 1893 r.

Zabiłem z niego przeszło 300 sztuk zwierza. Lufy ma nieco dłuższe, celownik i muszkę dyamentowe, waży 4 kilo 800. gr.

Wziałem również tytułem próby podwójny karabin 303 kalibru, angielski, nieco słabszy niż systemu Lebla. Broń ta była jednym z pierwszych egzemplarzy expres-

sów Metforda, jakie ukazały się na rynku londyńskim. Jest to zastosowanie karabinów bojowych Lee-Metford, sześcio-strzałowych o jednej lufie, do celów myśliwskich. Zmieniano go o tyle, że zastosowano dwie lufy, a usunięto bęben, jaki jest używany w rewolwerach.

Dwie pierwsze bronie tego systemu pękły przy użyciu. Trzecia, którą nabyłem, zbudowaną została mocniej, ażeby mogła wytrzymywać naboje prochu bezdymnego.

Pomimo małego kalibru, ważyła 4 kilo 630. Broń tę nazywam N. 303. Zbudowana wybornie, dałem z niej więcej niż tysiąc strzałów bez żadnego wypadku.

Luneta przystosowana do lufy, celem powiększania rozmiarów zwierza, o ile sądzę, jest bezużyteczną i używać jej nie radzę.

Wszystkie moje karabiny mają łoża opancerzone blachą stalową, co zabezpiecza od pęknięcia w razie silnych uderzeń.

Ze strzelb gładkich wziąłem winchester myśliwski sześciostrzałowy dwunastego kalibru. Jest to doskonała broń do ciągłego użytku, można z niej wybornie strzelać pantarki lub kozy podczas nocy.

Dobra jest również do obrony przeciw krajowcom. Jej naboje, zwłaszcza podczas nocy, daleko lepsze od kul.

Miałem również małą dubeltówkę 32 kalibru do strzelania drobnych ptaszków, przeznaczonych do zbiorów, prócz tego dwa duże rewolwery Galanda i mały rewolwer (tue-tue), nieodzowny w okolicach, gdzie Stanley, Peters, Wissman i wielu innych tyle mieli zajść i nadzwyczajnych trudności w stosunkach z krajowcami.

Do polowania przeto wziąłem broń następującą:

1) Karabin żłobkowany podwójny 8 kalibru.

2) Dwa karabiny express 577 kalibru.

3) Karabin express kalibru 303 (Metford).

4) Winchester gładki sześciostrzałowy 12 kalibru.

Co się tyczy amunicyi:

Sto ładunków 8 kalibru z kulami okrągłemi na bawoły i dla dobijania gruboskórnych, 100 ładunków silnych z kulami stożkowatemi, na słonie i nosorożce.

1.600 ładunków z kulami o miedzianych rurkach do karabinów express.

800 ładunków z pełnemi kulami z ołowiu.

500 ładunków z pełnemi kulami, drążącemi głęboko, do karabinu Metforda, a to dla obrony i strzałów w łeb hippopotamów, słoni i nosorożców.

Oprócz tego 2.400 naboi rozmaitego systemu i gatunku.

A teraz kilka słów objaśniających kule pełne; są one całkowicie pokryte niklem.

Kule Jeffery są obcięte na końcu i mają bruzdy podłużne, ułatwiające rozszczepianie się kuli. Są to tak zwane kule dum-dum.

Inne gatunki są wyżłobione do połowy i wypełnione woskiem.

Używam zawsze tylko nowych ładunków; nigdy nie używam łusek raz wystrzelonych. Jest to bardzo zły zwyczaj; proch zanieczyszcza lufę, kule źle pasują, pistony zawodzą często. Polując na kuropatwy i zające, to mała rzecz, ale gdzie idzie o życie, tam ryzykować nie można.

Na pięć tysięcy ładunków ani jeden nie zawiódł. Są więc wyborne. Ponieważ nabywać je można w ilościach większych po cenie umiarkowanej, a upakowane w pudełkach przechowują się doskonale, pocóż robić samemu? Zresztą niektóre naboje wymagają do robienia ich specyalnych maszynek.

Kul wybuchających nie używałem. Najpierw w pośpiechu często zapomina się zdjąć bezpiecznik. Powtóre można upuścić i narazić na kalectwo siebie lub towarzyszów.

Dalej, trafiając w zwierza, wybuchają one najczęściej przy uderzeniu w twardą powierzchnię skóry, więc prawie na zewnątrz, co do niczego nie prowadzi, zaś dla zwierza o skórze miękkiej, zwykła kula aż nadto wystarcza.

Kule wybuchające kwalifikują się obecnie do muzeum dawnych zabytków.

Przeciwnie, kula rozkwitająca (ekspansywna), jest bardzo używaną i praktyczną. Zawdzięcza to swej budowie. Ma ona wydrążenie, a w niem jest umieszczona miedziana rurka, która służy wprost jako zatyczka. Inaczej kula napotykałaby opór powietrza.

Przy uderzeniu kula pęka na kawałki, albo roztwiera się w formie grzyba. W ten sposób czyni olbrzymie spustoszenia, a u zwierząt delikatniejszych przechodzi na wylot, robi ze strony przeciwnej szeroki otwór wielkości dna od kapelusza.

Kul do expressa 577, kul Hallow, jako ekspansywnych, używać można, polując na zwierza o skórze delikatnej, np. na lwy, lamparty, dzikie koty, antylopy, dziki i t. p.

Łosie, bawoły, nosorożce, żyrafy, słonie — są to zwierzęta tęgie, silne, kula pękająca do zabicia ich nie wystarcza.

Trzeba używać na nie kul pełnych, nie wydrążonych, robionych z ołowiu, bo wszelkie proponowane domieszki cyny i rtęci do niczego nie prowadzą.

Kula ołowiana przebija skórę słonia lub nosorożca z łatwością. Opowiadania o twardości skóry nosorożców i słoni należą do bajek, tak samo jak wytrzymałość łuski krokodylów, jak błyszczące oczy lwa, co świecić mają w ciemności, niby latarka roweru! Farsą także jest lwia siła. Nie przeskoczy on wysokiego muru z cielęciem w zębach. Również owocem bujnej imaginacyi są podawane sposoby, za pomocą których myśliwy w noc ciemną z konia może doskonale mierzyć z karabina w samo oko nosorożca. Oko nosorożca jest przedewszystkiem bardzo małe.

Celowniki dyamentowe, opatrzone teleskopem i wszelkie tym podobne wymysły rusznikarzy, celują wybornie, ale w sam środek kieszeni strzelca. Najlepszą jest muszka platynowa, srebrna, albo z kości słoniowej, bo wyraźniej się odznacza. Dyamenty niewiele warte. Wypróbowałem je, jak i wszystkie nowe wynalazki i powróciłem do celownika srebrnego, na który w nocy nakładać można okrągły guziczek, pokryty białą albo fosforyzującą emalią.

Z systemu zamków karabinowych najlepszym jest system *T* angielski, albo tak zwany *top lever*.

Osada pistoletowa jest dla karabina konieczną. Najpierw najlepiej przypada do ręki i pozwala zabezpieczyć drzewo w sposób najłatwiejszy. Powiedziałem już powyżej o pokryciu nasady kolby stalowym pancerzem.

Po broni kolej na przybory. Moje były bardzo skromne. Ładownice w formie pasa, na każdy gatunek naboi, parę torebek na ładunki zapasowe, manierki na wodę wedle specyalnego wzoru, race do odstraszania hyen, samołówki na grubego zwierza, zapas celowników świecących, fosfor, białe ognie bengalskie, noże, siekiery, składany teleskop, lornetka nocna Trauve'go.

Ubranie myśliwskie, jakiego zwykle używam, stanowi kaftanik trykotowy bez rękawów, koloru bronzowego,

krótkie tegoż koloru spodnie, ciemny kask, skarpetki, trzewiki. Trzewiki z płótna żaglowego, podeszwy gumowe. Stąpa się w nich cicho, do polowania najlepsze. Do pochodu trzewiki skórzane, ze skóry żółtej, cienkiej, podeszwy grube. Pas skórzany, na który nakłada się ładownica, torebka na zegarek, pochwa na nóż i całość gotowa.

Szyja, ramiona, golenie nagie.

W chłodne wieczory biorę ciepły kaftan, który służy dobrze podczas nocnych czatów, ale lepsza jest peleryna z kapturem, bo można odrzucić ją na plecy i mieć ręce wolne.

Zawsze zabierałem z sobą do torby myśliwskiej: notatnik, ołówek, apteczkę kieszonkową, środki opatrunkowe i surowicę doktora Calmett'a przeciw ukąszeniom jadowitym.

Prócz tego miarkę do mierzenia zwierząt, przyrządy do czyszczenia broni, szczypczyki opatrunkowe, zapasowe celowniki, jedną albo dwie race, tytoń, fajkę, butelkę z jakim kordyałem, jak woda melissowa, koniak i t. p. Wszystko to zajmuje tyle miejsca, co pudełko na 50 cygar.

Druga torba mieściła zapas amunicyi, zastosowany do przewidywanych potrzeb. Manierki z wodą mieściły każda 4 litry. Były one z blachy cynkowej pokryte grubym filcem, na który, ażeby się nie darły, nakładano gęstą i mocną niecianą siatkę. Manierki, przywiązane do dwóch końców krótkiego kija, niósł specyalny nosiwoda.

W ten sposób unikało się rozgrzania wody od ciała niosącego, a zwilżając wojłok w bagnach napotykanych, przez parowanie wilgoci utrzymywało się zawartość w odpowiedniej temperaturze. Te kilka litrów wody były bardzo pożyteczne, bo nieraz spora odległość dzieliła jedną rzekę od drugiej. Można było przyrządzić herbatę, ugotować cokolwiek, lub dać nieodzowną pomoc w wypadku udaru słonecznego. Rzecz naturalna, że posiadałem i baryłki na wodę, ale te użyteczne były tylko na miejscu, nigdy w pochodach.

Składany teleskop oddawał mi wielkie usługi.

Lornetki nocne również są pożyteczne, trzeba tylko ażeby były odpowiednio urządzone.

Co się tyczy różnych zapasów, to zaopatrzyłem się dostatnio; trzystu ludzi trzeba było brać do niesienia w początkach wyprawy. Wystarczyłoby żywności dla trzech europejczyków na trzy lata.

Muszę jeszcze dodać, że posiadałem i aparat fotograficzny. Używałem go ciągle, jemu zawdzięczam małe wypraw moich pamiątki. Ilustracye do wydanej przezemnie książki pochodzą z moich fotografij myśliwskich. Posługiwałem się przyrządem Dalmeyera i ręcznym aparatem Kodak'a.

. . . .

„W okolicy obozowiska naszego, w Tsziromo, zwierzyny nie było wcale. Na przeciwnym zaś lewym brzegu rzeki, rozciągała się duża równina, gdzie mordowano bezlitośnie bawoły. Skończyło się na tem, że rząd zabronił tej bezmyślnej strzelaniny, bo znajdowali się amatorzy sportsmeni, którzy przez jeden ranek kładli trupem siedm do ośmiu bawołów, nie zadając sobie nawet trudu, aby je zabrać lub zakopać, pozostawiając trupy na pastwę sępów i jastrzębi.

Dziś na całej tej równinie polowanie jest wzbronione, a za lat dziesięć powrócą tu słonie i będą żyły jak dawniej.

Aby znaleść grubszą zwierzynę, trzeba się było oddalić na wschód od Tsziromo, to jest do granicy anglo-portugalskiej, gdzie przebywa podobno parę tysięcy bawołów i antylop. Posuwałem się więc w tamtą stronę, aby nareszcie wypróbować mój 303-ci kaliber broni.

Noc spędziłem w Nat'ana, wiosce oddalonej o dziesięć kilometrów od naszego obozu, a nazajutrz rano stado antylop dało mi pole do prób i popisów znacznych; zabójcze skutki broni małego kalibru były zdumiewające, celność nadzwyczajna, szarpnięcie prawie żadne. Za każdym strzałem kładłem zwierza na miejscu. A trzeba wiedzieć, że antylopa Lichtensteina, wzrostu małego konika, nader ruchliwa, jest nadzwyczaj trudna do strzału, ztąd też Boerowie dali jej przezwisko *hartebeest*, to znaczy: „twarda bestya“.

Później przekonałem się o wadach i zaletach nabojów większego lub mniejszego kalibru mojej strzelby, lecz na ten raz byłem zupełnie zadowolony i ze strzałów i z popisu.

Zdumienie krajowców było niezmierne, gdy po strzałach nie ujrzeli dymu, dla mnie taka broń ma tę wielką zaletę, iż obchodząc zwierzynę, mogę się ukryć i być zupełnie przez nią niespostrzeżonym. Strzał, powtórzony przez echo, zmyli zwierza, a obłok dymu nie zdradzi mej obecności.

Przez parę dni zabiłem kilka antylop, żebr i jednego gnu, tego ostatniego zawdzięczam tylko mej dalekonośnej broni.

Rzecz się tak miała:

W okolicach Nant'ana gnu są rzadkością. Pewnego razu spostrzegłem na niewielkiej polanie w odległości 400 metrów prześliczny okaz gnu. Zwierz dojrzał nas zaraz i patrzył trwożliwie na miejsce, gdzieśmy przypadli w trawę, chcąc się ukryć. Miałem szaloną ochotę spróbować nowej strzelby na tej przepysznej zwierzynie. W mgnieniu oka powziąłem plan podchodu i postanowiłem go wykonać. O jakie 200 metrów od nas rosła kępa drzew; poczekałem chwilę, aż się zwierz uspokoił i zaczął paść nanowo, wtedy, czołgając się zcicha w trawie, posuwałem się wolno do upragnionego celu.

Nie było to robotą łatwą, lecz po wielu trudach dotarłem do najbliższego drzewa.

Dalej iść było niepodobieństwem, trawa wysoka kończyła się i jeszcze krok, a cały manewr byłby stracony, tembardziej, iż zwierzę, instynktownie przeczuwając niebezpieczeństwo, zaczęło nasłuchiwać i wietrzyć. Więcej niż 200 metrów dzieliło mnie od niego, bądź co bądź, postanowiłem strzelać. Wolno podnosiłem się z ziemi tuż przy pniu drzewnym, mierząc uważnie z ręką na cynglu, wreszcie wypaliłem.

Strzał padł. Zwierz wierzgnął kilkakrotnie, skoczył w bok i zaczął umykać na prawo w pełnym galopie. Wiedziałem doskonale, że go raniłem, lecz myślałem w pierwszej chwili, że było to tylko lekkie draśnięcie, nie spuszczałem zeń oka, patrząc, co będzie dalej, zwierz pomykał ciągle, lecz niebawem zwolnił biegu, zachwiał się i padł. Przez chwilę widać było jeszcze drgające nogi ponad trawą, a potem wszystko znikło.

Gdyśmy przybyli na miejsce, zwierz leżał martwy, kula przeszyła mu serce, na zewnątrz widać było tylko maleńki otwór od kuli.

W jakiś czas później zorganizowałem małą wycieczkę na ziemiach portugalskich wokoło góry Tsziperoni, o pięć czy sześć dni drogi oddalonej na południowy-wschód od naszego obozu.

Zarośla w tej okolicy były gęste, wprost nie do przebycia, co dziwniejsza, bo zwykle w tej porze roku roślinność bywa tu dużo słabsza i mniej wybujała.

Odnaleźliśmy wiele tropów zwierzęcych, między innymi tropy pewnego rodzaju antylopy, które po raz pierwszy zauważyłem na północy Zambezu. Słonie widocznie też tędy przechodziły, ale dawniej, bo tropy były nieco zatarte. Nosorożce również zamieszkiwały te okolice, a raz nawet znaleźliśmy się dość blizko jednego z nich; jak najwyraźniej słychać było sapanie i chrzęst łamanych gałęzi, roślinność jednak w tem miejscu jest tak gęsta, że dojrzeć zwierza było prawdziwem niepodobieństwem. Po parogodzinnej pogoni wróciliśmy z niczem. Wogóle ta cała portugalska wyprawa nie przyniosła nam oczekiwanych korzyści

Stanowczo okolice naszego obozu nie mogły zadowolnić najmniej wybrednego strzelca, może pierwsze ulewne deszcze sprowadzą zwierzynę na północno-zachód od Tsziromo, a tylko dwa tygodnie dzieliło nas od chwili, gdy otworzą się upusty niebieskie i deszcz nas będzie raził przez całe cztery miesiące.

Tymczasem, skrócając sobie długie chwile oczekiwania, polowałem nad brzegami rzeki Sziry na hippopotamy, albowiem do mojej kolekcyi potrzebna mi była jeszcze całkowita czaszka zwierzęca, gdyż dotychczas posiadałem tylko, jako jedyny okaz, szczękę. I tym razem jednak nie udało mi się zdobyć tego, czego szukałem, jakkolwiek hippopotamów była moc niezwykła przy ujściu rzeki Suo de Szire. Wszystkie jednak, które upolowałem, były niezdatne, jedne za młode, drugie za stare i wskutek wieku zęby miały uszkodzone. Przez kilka dni pobytu nad brzegami rzeki towarzysze moi zabawiali się strzelaniną do krokodylów, zabili ich też kilkanaście.

Dnia pewnego, gdyśmy spożywali śniadanie, dano nam znać, iż świeżo upolowany krokodyl ma człowieka w brzuchu.

Nadbiegliśmy co rychlej i przekonaliśmy się naocznie, że pogłoska nie była kłamliwą. Z brzucha zwierzęcia wyjęto rękę, nogę aż do uda i parę żeber ludzkich. Ciało było mało nadpsute, ale skóra zmieniła już kolor pod działaniem kwasów żołądkowych. Dałem rozkaz, aby pogrzebano te szczątki, lecz nikt nie chciał tego uczynić, kazałem więc wszystko wrzucić napowrót do rzeki.

Członki ludzkie popłynęły na fali wodnej, a majtkowie jednego ze statków wojennych, spostrzegłszy je, puścili pogłoskę, iż widzieli ręce białego, płynące w dół rzeki; wiadomość ta narobiła wielkiego rumoru w okolicy.

Nazajutrz upolowaliśmy innego krokodyla, który zawierał resztę szczątków nieszczęśliwego człowieka, mianowicie głowę i łopatki.

To odkrycie nauczyło mnie, aby zawsze rozpruwać upolowane krokodyle, czego nigdy przedtem nie robiłem, tym sposobem znajdywałem nieraz najdziwaczniejsze rzeczy. Raz naprzykład pół skóry koziej, zwiniętej w kłębek, to znów ogromną chustę czerwoną i t. p. W jakieś dwa lata później w jeziorze Nyassa zabito olbrzymiego krokodyla, długości sześciu metrów i wyjęto z jego wnętrzności dwadzieścia cztery mosiężne bransoletki, oraz pęk włosów wełnistych, kędzierzawych.

Nieszczęśliwy krokodyl nie mógł strawić najozdobniejszych części tualety elegantki murzyńskiej, do której zapewne te przedmioty należały.

Czytelnik w tej chwili myśli: „I otóż zaczynają się okropności“, jak mówią słowa znanej francuskiej piosenki. Żałuję mocno, ale nic innego o Tsziromo opowiedzieć nie mogę, pobyt nasz tu pod względem łowów i przygód był zupełnie nieudatny tak, że bez żadnych przygotowań wstępnych przejdziemy do wydarzeń roku następnego.

Luty 1895 roku zastał nas o 400 kilometrów od Szire, w dzikiej okolicy, pełnej wszelakiego zwierza, przenoszę więc czytelnika w zupełnie inne otoczenie.

Zamiast Tsziromo, spalonego przez słońce, gdzie sterczą pokrzywione, suche, bezlistne prawie drzewa, widzimy przed sobą malowniczą krainę, pełną życia i świeżości. Deszcze padają już od trzech miesięcy i trawa dochodzi do dwóch stóp wysokości. Drzewa jedne okrywają się liściem, drugie zaś stoją obciążone owocami; w przestworzach bujają ptaki, śpiewając wesoło. W przerwach między jedną a drugą ulewą ukazuje się nam niebo błękitne i słońce się do nas uśmiecha, wołając: lato! lato!

Do mniejszych przyjemności zaliczyć można nieustanne brodzenie po błocie; w obecnej porze nigdzie miejsca suchego znaleść nie można, żyjemy w ciągłej wilgoci. Niezliczoną ilość razy dziennie trzeba moknąć, suszyć się i znów moknąć, a wieczorem na uwieńczenie wszystkich przyjemności, kładziemy się spać pod mokre kołdry, wśród fal wodnych. Namioty nasze, pomimo całej niewygody, zdawały nam się doskonałem, upragnionem schroniskiem. Chcąc coś ugotować, trzeba było naprzód zbierać drzewo, suszyć i wtedy dopiero można ogień rozpalić.

Obóz założyliśmy na niewielkim pagórku, pomiędzy dwiema rzekami, co płyną, szemrząc, po piasku, a brzegi ich są ujęte w zwoje ciernistych gałęzi i krzewów. Składa się on z czterech większych namiotów, otoczonych kilkunastu szałasami z gałęzi. De Borely, z większemi zapasami i ładunkiem, znajdował się o jakie trzy dni drogi od nas, przy mnie był tylko Bertrand i ze dwudziestu ludzi. Naokół na odległości co najmniej dwudziestu kilometrów, żadnej wioski, ni żadnej ścieżki, ni śladu ludzkiego; ogromny spokój natury.

Ranek. Może najwyżej siódma godzina; ludzie moi siedzą wokoło ognisk, gwarząc zcicha, słońce jasno przyświeca, jakby urągając deszczowi, który nam dotychczas przeszkadzał w zwiedzaniu okolicy. Powoli i bez żadnego hałasu wyruszamy na łowy.

Już od dwóch dni coś „pachnie w powietrzu słoniem“, przedwczoraj znaleźliśmy tropy jego, a wczoraj wieczorem znów drugie, świeże. Dzieje się to dlatego, że okolica jest gęsto zarośnięta drzewami pewnego gatunku „Fula“, o owocach podobnych do dzikich migdałów, pokrytych wonną łupiną, które słonie pasyami lubią.

Drzewa Fula dochodzą do znacznej wysokości i grubości tak, że słonie potrząsać niemi nie mogą, lecz muszą czekać cierpliwie aż owoce opadną. Prawdopodobnie zwierzęta obchodziły drzewa w całej okolicy a nie znalazłszy nic dojrzałego, powiedziały sobie: „Wrócimy tu za tydzień“. Tego powrotu właśnie oczekujemy niecierpliwie.

Tambarika łazi po północnej stronie z sześcioma ludźmi i szuka tropów, my wyruszamy ku południowi; o trzeciej po południu schodzimy się w obozie, lecz jak zwykle, bez żadnych rezultatów poszukiwania tak z jego, jak i z mojej strony. Tymczasem kucharzowi coraz to braknie mięsa i natarczywie dopomina się o nowy zapas.

Niedaleko ztąd widzieliśmy świeże tropy bawołów, ryzykujemy więc jeden wystrzał, choć i to jest wiele, bo nawet dalekie echo wystrzału może spłoszyć słonie.

Ale co było robić? Czyż lepiej głód cierpieć? Nie. Wyruszamy więc na bawoły.

Po półgodzinnej drodze znajdujemy je pasące się spokojnie na pagórku, pokrytym wysoką trawą; otaczamy go, zbliżając się na jakie sto metrów i widzimy całe stado jak na dłoni.

Jest ich blizko piętnaście sztuk, między nimi trzy samce; jeden szczególnie przepyszny, przechadza się wolno, unosząc na grzbiecie całe stadko ptaków, co oczyszczają mu sierść. Rzecz dziwną, że ptaki nie zdradziły dotychczas naszej obecności, zwykle zrywają się z głośną wrzawą i ostrzegają zwierzę o niebezpieczeństwie.

Przepyszny samiec jest odemnie za daleko, aby do niego strzelać, biorę więc na cel najbliższego i pakuję mu kulę pod łopatkę. Na huk strzału całe stadko rozprasza się, a razem z niem umyka i mój raniony. Puszczamy się w pogoń poprzez gęste zarośla, za tropem i śladami krwi natrafiamy wkrótce na konającego zwierza. Aby nie robić hałasu wystrzałem, dobijamy go kawałkiem jakiegoś drzewa.

Jakież przepyszne bawole rogi zdobyłem! Szkoda tylko, że większy samiec umknął cało, bo tamte rogi mogły służyć za okaz wspaniały. O wpół do siódmej mięso partyami było dostawione do obozu i zaczynaliśmy naszą ucztę wieczorną.

Około północy lwy nas raczą prześlicznym koncertem, wkrótce zaś odgłosy i wycia cichną. Wszyscy drzemiemy, gdy naraz budzi nas okrzyk: Latumbui! Latumbui! To mrówki mięsożerne zalewają nasz obóz, krocząc zwartemi szeregami; widocznie przyciągnęły je odpadki żywności i zapach krwi. Wszyscy się zrywają, podsycają ogniska i płonącemi żagwiami wypędzają nieprzyjaciela. Ja czułem się zmęczony mocno, więc w walce nie brałem udziału, kazałem tylko rozpalić ogniska po czterech rogach mego obozowego łóżka i zasnąłem spokojnie. Latumbui atakują zwykle dwa razy, lecz jeżeli są odparte ze znacznemi stratami, cofają się lub idą dalej.

Dzień następny przechodzi bez żadnego ważniejszego wypadku, oddział poszukujący wraca w towarzystwie dwóch krajowców, którzy mi przynoszą ważną wiadomość od wodza wsi pobliskiej. Okazuje się, ze dwa dni temu lew pożarł jakąś starą kobietę, a wczorajszej nocy krążył jeszcze po okolicy. Krajowcy wiedzą dobrze, że za każdą wiadomość o grubszym zwierzu dostają odemnie nagrodę, dlatego też wysłańcy tak spiesznie do nas przybyli.

Zaraz też ruszamy w dalszą drogę i po czterogodzinnym nużącym pochodzie docieramy do wioski. I to u krajowców nazywa się „bliziutko“ (pafui), ładne mi pafui! Noc szybko zapada i sam nie wiem doprawdy, co w tych ciemnościach egipskich będzie można robić, najlepiej chyba doczekać się rana o potem działać. Rozkazałem tylko ludziom, aby z chat tej nocy nie wychodzili wcale; jutro może znajdziemy trop świeży, dziś na wycieczkę zapóźno.

Niedaleko stąd w drugiej wsi tańczą od pierwszej po połnocy, przy dźwiękach tam-tamu, przypuszczam, że ta kocia muzyka odstraszy naszego ludożercę. Nie mam więc nic lepszego do roboty, jak położyć się spać w ubraniu naturalnie.

Około czwartej zrana budzą nas liczne okrzyki i gwar pochodzący ze wsi, gdzie tańczono. Wyskakuję czemprędzej z chaty ze strzelbą w ręku, zwołuję moich ludzi i podążamy naprzeciw głosów. W tej chwili jakaś kobieta nawpół obłąkana rzuca się do nóg moich z okrzykami, iż syna jej lew pożarł.

W ciemnościach, kierując się tylko za światłami gorejących wici słomianych, biegniemy co tchu do wioski. Na miejscu dowiadujemy się, iż lew porwał nieszczęśliwego chłopca w chwili, gdy nawpół z chaty wychylony brał wiązkę drzewa.

Krajowcy wszyscy są równie nieopatrzni, nie zdają sobie jasno sprawy z niebezpieczeństwa. Ileż to razy widziałem kąpiących się murzynów w tem samem miejscu, gdzie parę dni przedtem jeden z ich towarzyszów był pożarty przez krokodyla.

Ale nie czas na rozmyślania. Działajmy. Rozumie sie, że pośród dzikich okrzyków ludności lew nie myślał zatrzymywać się we wsi, a przy blasku łuczywa śladów znaleść niepodobna.

Trzeba czekać, Zasiadamy z krajowcami w około ogniska i czekamy, ogłuszeni przeraźliwymi lamentacyami kobiet. Dnieć zaczyna, zbieram więc około dziesięciu czarnych, którzy mi będą towarzyszyli, zachowując milczenie głębokie.

Jak tylko się dosyć rozwidniło, aby módz śladować za tropem, idziemy do chaty, gdzie dziecko było porwane, ale ludzie chodząc zatarli wszelkie ślady. Na werendce, co otacza lepiankę, dostrzegamy nareszcie ślad pazurów drapieżnika; po małej chwili odnajdujemy trop za chatą, co świadczy, że zwierz ją okrążył. Tuż obok ślad dziecięcej stopy, lew więc widocznie schwycił dziecko za górną część tułowia. Dalej znajdujemy coraz częściej krople krwi i ślady; zwierz posuwał się kn rzece jedną z ulic wioski około chat, mieszkańcy widocznie spali, okrzyki zbudziły ich później. Dochodzimy wreszcie nad brzeg rzeki, gdzie lew złożył ofiarę, a sam odpoczywał, świadczy o tem mała kałuża krwi skrzepłej. Poczem przeszedł rzekę na stopę głębokości i biegł brzegiem w dół strumienia z pięć metrów, wreszcie zaszył się w krze nadbrzeżne. Zatrzymuję pochód i posyłam Tambarikę dla zbadania, czy nie znajdzie śladów z drugiej strony krzaków, bo może zwierz już je opuścił.

Jakoż nie myliłem się, bo po chwili słyszymy gwizd przeciągły, nasz znak umówiony, puszczamy się ukośną ścieżką, aby prędzej przybyć na miejsce. W trawie natrafiamy na nową kałużę krwi i nakoniec wychodzimy na niewielką polanę, gdzie zatrzymujemy się dla chwilowego wytchnienia: Wreszcie ruszamy dalej, w ciągłej pogoni przechodzimy przez las, gdzie znajdujemy nowe ślady krwi i przepaskę z muszli, którą biedny malec nosił na biodrach, oraz kawał szmaty, na gałęzi krzaka zaczepionej. Wielka kałuża krwi skrzepłej wskazuje miejsce, gdzie zwierz zaczął rozszarpywać swą ofiarę, ale to już z godzinę temu. Wreszcie na przeciwnym brzegu lasu pogrążamy się w wysoką trawę, gdy nagle złowrogie mruczenie przykuwa nas do miejsca. Nadsłuchujemy. Nieprzyjaciel jest tuż! Czy będzie atakować? Po chwili mruczenie cichnie. Zbieram ludzi moich i wysyłam na zwiady. Sam zaś z ręką na cynglu zagłębiam się w trawę, a wytężając wzrok przed siebie i nasłuchując, posuwam się bez żadnego szelestu.

O dziesięć metrów przedemną słychać chrzest trawy i głowy czarnych, wynurzające się z zieloności i nic więcej. Idziemy wolno naprzód. Ach, otóż i drzewo! Daję znak Kambombie, chłopiec w mgnieniu oka wdrapuje się na sam wierzchdłek i patrzy:

— Dziecko jest tutaj — objaśnia nas głosem stłumionym — ale lwa nie ma. Ach! otóż i on na lewo, prędko, prędko, tędy!

Biegnę we wskazanym kierunku, dając znaki murzynom ze wsi, aby szli za nami i ruchem ręki nakazuję, aby okrążyli polankę i zajęli lewą stronę. Posyłam wre-

szcie Rodzaniego, niech im każe hałasować i napędzać zwierza w naszą stronę. Ja zaś staję nieruchomy na stanowisku, wzrok i słuch wytężając w stronę, gdzie nieprzyjaciel ma się ukazać. Czekam....

Kambombe, śledząc z drzewa, daje mi objaśnienia:

— Umyka, nie, wraca tędy... zatrzymał się... i patrzy w stronę ludzi... zjeża grzywę... Baczność, zmierza w tę stronę... leci, przejdzie przez stanowisko... Ach żeby pan był tutaj!... Jak ja go dobrze widzę!... Obraca się... idzie, idzie... odsuńcie się trochę, odsuńcie.

Można sobie wyobrazić, z jakim niepokojem wsłuchiwałem się w te urywane słowa. Cofam się więc o dwa kroki, ludzie moi są za mną. Rzucam im tylko rozkaz:

— Nie strzelać, chyba w ostateczności.

— Niech się pan nie gorączkuje — szepcze Tambarika.

Trawy poruszane kołyszą się, rozchylają... i przepyszny lew wychodzi naprzeciw mnie o jakie ośm metrów i zbliża się szybko, niepokojony przez głosy krajowców. Nagle zatrzymuje się; spostrzegł mnie; wyszczerzył zęby, przysiadł, stulił uszy i ogon wyprężył, gotując się do skoku. Korzystam z chwili, w mgnieniu oka poruszyłem cyngiel i pakuję mu kulę w kark. Lew zachwiał się, przysiadł i... powalił bez ruchu.

Strzał był śliczny. Liczyłem zawsze na celność mego 303-go kalibru broni. Później stosowałem jeszcze kilkakrotnie ten rodzaj strzału, zawsze z dobrym skutkiem. Należy tylko trafić w miejsce, gdzie szyja się kończy, a zaczynają kręgi, a padnie na miejscu, jak gromem rażony. Uprzedzam jednak, że wszystkie karabiny górują, a karabin Metforda więcej od innych; jeżeli więc strzela się zbliska, tak, jak ja tym razem, trzeba mierzyć dużo niżej, aby trafić celnie. Na odległość zaś 120 metrów karabiny już nie górują.

Lew, którego przed chwilą uśmierciłem, jest mocno stary, wzrostu średniego, odznacza się niezwykłą chudością. Porwane przezeń dziecko liczyło najwyżej lat czternaście; śmierć jego musiała nastąpić zaraz po porwaniu, gdyż lwy nie unoszą nigdy ofiar żyjących, chyba gdy są ścigane, lecz nasz lew miał dosyć czasu do zabicia swej zdobyczy. Matka dziecka usłyszawszy krzyk, domyśliła się straszliwej prawdy, lecz zgroza i strach odjęły jej wszelką władzę; gdy wróciła do przytomności, wybiegła z chaty, lecz dziecka już nigdzie nid było, zbudziła okrzykami ludność wioski, wszystko zapóźno, lew musiał unieść swą zdobycz daleko.

Przenieśliśmy na noszach obydwie ofiary nocnego dramatu. Na ciele dziecka widniały liczne ślady zębów drapieżnika, zwłaszcza szyja, prawa noga i ramię były mocno pokiereszowane aż do kości.

Skoro lew, niesiony przez ośmiu ludzi na drągu, ukazał się w wiosce, cała ludność rzuciła się na niego uzbrojona w noże, włócznie i sagaty. Istnieje tu bowiem zwyczaj, aby w podobnych razach zemstę wywierać na trupie zwierzęcym i póty kaleczą nieszczęsną ofiarę strzałami i nożami, aż stanie się podobną do jednej krwawej masy. Ten sposób oporządzania moich trofeów myśliwskich niezbyt mi przypadł do gustu. Po wielu usiłowaniach, ledwo zdołałem wytłómaczyć krajowcom, że zabiłem im tę dziką bestyę, lecz w zamian żądam od nich tylko skóry z głową i pazurami, resztę zaś oddam im na pastwę.

Nie omieszkałem dodać, że pierwszy, kto się przedtem ośmieli dotknąć lwa, zawrze bliższą znajomość z moją laską. To podziałało uspokajająco: cała ludność zasiadła wokoło, czekając cierpliwie, aż Tszigallo przy pomocy Rodzaniego i Msiambirego zdejmą skórę. Potem dopiero rzucili się na krwawego trupa i kaleczyli straszliwie nożami i włóczniami, ciągnąc za sobą bezkształtną masę bez nóg i głowy przez wszystkie wsie okoliczne. Nieszczęsny lew podobny był raczej do wołu, poćwiartowanego przez rzeźnika, niżeli do króla puszczy.

Następnie przy głośnym płaczu kobiet, złorzeczeniach i dzikich pogrzebowych tańcach, spalono go na stosie.

Byliśmy już w połowie drogi do naszego obozowiska, a jeszcze dochodziły nas odgłosy dzikich okrzyków i monotonnych dźwięków tam-tamu. Mrok wieczorny rozświetlała łuna palącego się stosu.

Noc już zapadła, gdy wróciliśmy do obozu. Nad nami jaśniało niebo milionami gwiazd, wokoło cisza i spokój ogromny. Rozmyślałem wiele o wrażeniach dnia i o tej biednej murzynce ze wsi, tej matce, co cierpi po śmierci jedynego dziecka.

I przyszło mi na myśl, ileż to codziennie we wszechświecie istnieje takich bólów nieznanych... ileż łez tajonych...

Korespondencye.

Batiatycze, 5. sierpnia 1903.

I znów piszę — niejeden z czytelników pomyśli: „bodaj go... a to niepoprawny bazgracz!" — ale tym razem nie moja wina, tylko leśniczego mego Tyburskiego, którego, jak mi sam opowiadał, aż coś nudziło, nim się swojem spostrzeżeniem podzielił ze mną. Ledwie po kielichu gorzałki z rumem jakoś mu się uspokoiło... Ale *ad rem.* Przywiózł rogacza, który miał w gardle trzy robaki, długie na około dwa centymetry, równocześnie w okolicy serca kilkanaście takich robaków, płuca jakby wyschnięte a i cały był bardzo mizerny. Jest to czwarty rogacz padły i każdy miał te robaki. Nie jest to jednak motylica, lecz jakaś inna plaga, a przypisać ją można chyba bardzo mokremu latu. Może ktoś z szanownych kompetentnych czytelników rozwiąże tę zagadkę?

Na pocieszenie jednak zaproszony zostałem na zrąb, gdzie jest stado cietrzewi, złożone z dziewięciu sztuk, między którymi są trzy sztuki białe. Pomimo tego jednak, że już latają, poznać nie można, czy to koguty, czy kury. Błąka się i rogacz biały z otłuczonym rogiem, jednakże dotąd, mimo zasiadek na strzał nie wyszedł.

Na zakończenie dodam, że autor listu do Jegomościa pisanego, o którym to liście pisałem w poprzedniej korespondencyi, pomija już kuropatwy, a bierze się do „lacha". Mianowicie żąda, aby Jegomość powstrzymał „zwirjaczyj zapudy" podpisanego w ruskim kraju. Sprawę tę oddaję Świetnemu sądowi w Mostach do rozpatrzenia, może jakiś moment spędzony spokojnie jak to mówią „w Iwanowej chacie" ostudzi młodzieńczą krewkość okazywaną pod pretekstem obrony „hromadian".

Tadeusz Romanowski,
delegat żółkiewski.

Dział weterynaryjny.

Podaje *Stefan Ostrowski.*

Skuteczny środek na liszaj. Przy nader uporczywym cieknącym liszaju i przy weszcze psiej otrzymywałem bardzo dobre rezultaty, stosując następujące lekarstwo:

Rp. Liquor ferr. sesquichlor. 5.0
Ichtyol. 5.0
Vaselin. americ. 15.0
Alfunguentum

Maścią tą należy smarować miejsca chore po uprzednie m dokładnem wymyciu roztworem według podanej tu recepty:

Rp. Cal. hypermanganic. 0,5
Aquae destillat. 25.0

Rano powinniśmy miejsce dotknięte liszajem dobrze zmyć tym rozczynem, a potem posmarować maścią; przed nocą zaś zmyć maść dokładnie letnią wodą z kreoliną, nacierając przy tem miejsce chore mydłem sublimatowem lub dziegciowem.

Powtarzając tę operację kilka dni ujrzymy znaczne polepszenie. Dla lepszego dostępu sierć należy wystrzyc, lub zgolić; smarując trzeba zajmować szerszy pas t. j. i miejsce zdrowe naokoło ranki, gdyż tym sposobem zabezpieczamy dalsze okolice od choroby.

Psa dotkniętego liszajem należy odosobnić zupełnie, gdyż choroba ta jest nader zaraźliwa. Zaznaczam przy tem, iż nieraz po kilkodniowej kuracyi nie znać polepszenia, gdyż liszaj jest bardzo uporczywy i tylko przy dokładnej dłuższej kuracyi można go zwalczyć. Po smarowaniu powinno się starannie ręce wymyć mydłem sublimatowem. Gdy po niejakiem czasie psu choremu sierć powypada, należy smarować łysinę takim płynem:

Rp. Balsam peruwiański 5.0
Oliwa 10.0.

Zastrzegam, iż oliwa musi być zupełnie czysta do jedzenia. Dokładność i systematyczność w podobnego rodzaju uporczywych chorobach są niezbędnemi.

Psy podlegają im najczęściej albo z zarażenia, często też bardzo z nieczystego legowiska, o dezynfekcyi częstej którego powinniśmy szczególniej pamiętać, zmieniając często płótno na którem pies sypia, (przynajmniej raz na tydzień). (Vide artykuł mój w N. II. „Łowca“ z r. 1901.).

Lekarstwo, którego przepis do wiadomości ogółu czytelników podaję, niejednokrotnie wypróbowałem i za skuteczność jego ręczyć mogę.

Ruptura. (Ibernia.) Jest kilka gatunków ruptur 1) ruptura pachwinowa (hernia umbilica), na którą dość często suki zapadają, 2) ruptura pępkowa (hernia ombilica), częściej psy trapiąca, bywa ona prawie od urodzenia skutkiem małej odporności tkanek przy otworze pępkowym, które pękają pod wpływem parcia kiszek. Tego rodzaju ruptura objawia się mętnemi odchodami, dysenteryą, lub obstrukcyą. Najczęściej upadki na brzuch wywołują rupturę. Poznać rupturę łatwo po nabrzmieniu, koło pępka formy kulistej, lub gruszkowatej. Ruptura ta łatwą bywa do uleczenia u młodych psów długo ssących, — ciężką zaś u wcześnie odsadzonych. Gdy obrzmienie małe, choroba jest mniej niebezpieczną.

Różne są sposoby zalecane przy kuracyi ruptury 1) bandaż, 2) zastosowanie środków gryzących, 3) wypalanie etc. Bandaże mające w celu odparcie kiszek w zagłębienie brzuszne nie mogą być stosowane u psów nerwowych. Z drugiej strony silne uciskanie krzyża bandażami mogłoby spowodować u psów bardzo młodych zdeformowanie stosu pacierzowego. Dobre są bardzo wstrzykiwania, injekcye podskórne, w miejscach obok ruptury, płynów drażniących t. j. rozczynu silnego 3% — chlorku potasu 10%.

Stosują również gorczycę, która wywołuje obrzmienie podtrzymujące ligatury (bindy) przy zakładaniu. Nakoniec dobrą jest mortyfikacya worka rupturowego za pomocą ligatury (bindy), następnie zszycie; ten sposób stosowanym bywa przy cięższej rupturze. Pamiętać przytem należy, iż niezbędna ścisła desynfekcya i znieczulanie psów nerwowych przy zakładaniu bandaży, lub zszywaniu.

Ruptura pachwinowa często bywa u suk. Objawia się przy ostatnich brodawkach pod postacią znacznego obrzmienia. Może ona łatwo zawładnąć macicą lub otrzewną nawet. W tego rodzaju ciężkiej rupturze pomoc weterynaryjna jest niezbędną — przy znieczulaniu i aseptyce szczegółowej miejsca chorego.

Ruptura brzuszna rzadka u mięsożernych stworzeń; przyczyną jej bywa zwykle kopnięcie, lub silne uderzenie. Ponieważ bywa ona najczęściej u stworzeń dorosłych — stosować można lepkie bandaże, — nie uciekając się do zszywania otworu rupturowego. Na rupturze udowej, objawiającej się na kości krokowej wzdłuż muskułu łydkowego — kończę wyliczanie różnego rodzaju ruptur, zaznaczając, że we wszystkich cięższych wypadkach pomoc zdolnego weterynarza, jakich niestety mało mamy, jest niezbędną przy wielkiej desynfekcyi i aseptyce.



KRONIKA.

Wykaz urzędowy ubitej zwierzyny na Węgrzech za 1902 r.:

W 18 komitatach według statystycznych wykazów ubito razem 1,860,250 sztuk zwierzyny,

Zwierza użytkowego:

5,232 jeleni, 1,575 łań, 13,736 sarn, 113 kozic, 37 muflonów, 4,216 dzików, 616,255 zajęcy, 37,560 królików i 1.407 różnych zwierząt pożytecznych czworonożnych; następnie 867 głuszców, 139 cietrzewi, 4,498 jarząbków, 90,960 bażantów, 396,890 kuropatw, 55,863 przepiórek, 4,204 derkaczy, 6,198 dzikich gęsi, 55,209 dzikich kaczek, 1.308 wodnych kurek, 1,023 dropi i żórawi, 17,673 słonek, 9,961 kszyków, 15,992 dzikich gołębi, 10,582 kwiczołów i innych ptaków mniejszych, razem 1,377,967 sztuk.

Szkodników:

153 niedźwiedzi, 2,017 borsuków, 584 wyder, 45 rysiów, 297 wilków, 1,693 żbików, 27,577 lisów, 2,721 kun, 9,482 tchórzy, 22,571 łasic, różnych czworonożnych szkodników 13,675 sztuk; 79,885 ptaków drapieżnych dzien-

nych 15,916 sów, 212,102 wron i srok, 36,794 różnych drapieżników i 47,556 zdziczałych kotów włóczących się.

Legawiec wspinający się po drzewach. Przed rokiem podawały pisma łowieckie niemieckie wiadomość, o psu legawym, będącym własnością Fryderyka Richtera, syna słynnego malarza scen myśliwskich, Alberta Richtera, który posiada fenomenalną własność, a mianowicie, że wspina się jak kot po drzewach. Wydawało się to poprostu wymysłem — tymczasem w jednym z ostatnich numerów celowieckiego tygodnika „Weidmannsheil“ podana jest reprodukcya tego psa, w chwili, kiedy wspina się po zupełnie gładkim pniu sosny, aby aportować zawieszoną dość wysoko na gałązce ubitą wiewiórkę. Chociaż sztuka fotograficzna w ostatnich czasach tak się rozwinęła, że można mieć odbicia składane, to jest z dwóch lub więcej odbitek skombinowane, to jednak reprodukcya, o której mówimy jest najwidoczniej prawdziwa: jest dokumentem, świadczącym o niezwykłej tej właściwości psa legawego. Dosyć bombastycznie „Jagdkönig Roland“ nazwany pies, należy do rasy tak zwanych szorstkowłosych (gryfonów) — urodził się 30. marca 1900 i od najmłodszego wieku okazywał niezwykłe zalety. Pewnego dnia wystraszył w ziemniakach starego kocura, który schronił się na pobliską wierzbę. Pies wskoczył za nim na niewysokie drzewo i zmusił kota do zeskoczenia. Na dole czekała go suka, która była mentorką Rolanda i zabrała się do duszenia kota, tak, że Roland zeskoczywszy nie wiele miał już do roboty. Zachęcony tą próbą począł Roland czynić usiłowania wspinania się na proste pnie, co mu się w końcu udało. Na pnie, na których gałęzie zaczynają się dopiero na wysokości 2—3 metrów, skacze Roland odrazu na jakie półtora metra, chwyta pień nogami, posuwa się coraz wyżej, chwyta za najbliższą gałęź, i potem już po gałęziach łatwo wspina się tak wysoko, jak go tylko utrzymają gałęzie. Jeżeli jakiś drapieżca przez niego prześladowany schroni się na tak cienką gałęź, że Roland na nią wejść nie może, to trzęsie łapami przedniemi tę gałęź tak długo, aż prześladowany zwierz zeskoczy z drzewa. Jeżeli to się nie udaje, to odgryza gałęź. Wspaniały ma być widok, gdy się pośliznie na gałęzi i spada z drzewa, gdyż robi on w powietrzu, jak kot, kozła i spada na nogi — nie puszczając przytem z pyska zwierza, jeżeli go już przedtem ujął. Nagród na popisach otrzymał Roland mnóstwo, jest bowiem przytem psem o znakomitym wietrze i tresurze.

Nowa ustawa ochronna w Texas. Nawet stany, zamieszkane przez łacińskie szczepy, które, jak wiadomo, nie bardzo o ochronie zwierzyny myślą, wprowadzają ustawy, które obecnie w Europie nazywają się reakcyjnemi. W stanie Texas, który dotychczas zostawiał każdemu obywatelowi wolność zupełną w wykonywaniu polowania, postanowiono obecnie położyć tamę tępieniu zwierzyny, które się na podstawie dotychczasowych przepisów rozwinęło. I tak wydano właśnie w Texas ustawę, że jednemu myśliwemu wolno najwyżej ubić w roku sześć sztuk jeleni pampasowych i jeleni zwanych „Axis“. Sprzedaż skór i rogów została zakazana. Dla wszystkich antylop, które jeszcze znajdują się na obszarze Texas wyznaczono pięcioletni czas ochronny. Zabicie jakiegoś ptaka nienależącego do wyliczonych w ustawie ptaków łowieckich, jest najsurowiej zakazane. Za to zniżono czas ochronny dla przepiórki, która jest najzwyczajniejszą zwierzyną lotną tego kraju, na trzy miesiące. Tylko ptaki drapieżne, sowy i wrony nie mają żadnego czasu ochronnego. Z tego widzimy, że nawet najliberalniejsze prawodawstwa biorą zwierzynę pożyteczną w ochronę, jako rzecz pożyteczności powszechnej. Że w Ameryce nie żartują pod tym względem, dowód w tem, że w północnych stanach nawet przypadek ostro jest karany. Zeszłej jesieni zdarzyło się w Stanie Maine, że przy podchodzeniu łosia myśliwy strzelił tak nieszczęśliwie, iż obok łosia jednym strzałem ubił także żerującą za nim klempę. Przewodnik, towarzyszący myśliwemu, przyrzekł mu, oczywiście za nagrodę, milczenie — wygadał się jednak z tem przy kieliszku i myśliwy został skazany na zapłacenie kary w kwocie 800 dolarów.

W tym samym Stanie Maine do niedawnego czasu taka była wolność polowania, że właścicielowi gruntu nie wolno było zagradzać na własnym gruncie jakichkolwiek przestrzeni, któreby miały służyć dla ochrony zwierzyny. Jeszcze niedawno poleciły władze jednemu z właścicieli ziemskich, który zrobił próbę takiego ogrodzenia, celem ochronienia zwierzyny przed kłusownikami, aby ogrodzenie to zniósł, przyczem jednak prywatnie zawiadomiono go, że płot może pozostać na gruncie, gdyż w krótkim czasie spodziewać się należy zniesienia tej ustawy. Obecnie nastąpił zupełny przewrót w pojęciach Amerykanów w sprawie łowiectwa — na gwałt wołają oni o ustawy ochronne, aby ustrzec kraj przed wyniszczeniem zwierzyny. Bezgraniczne preryе Ameryki zamieszkiwał dawniej bizon w niezliczonej ilości, który obecnie dzięki nienasyconej chciwości myśliwych, polujących dla skór, jest bliski wytępienia. W południowej i wschodniej Afryce dzieje się to samo ze słoniem. Jankesy sami się ukarali za to, że w czasie właściwym nie umieli nałożyć hamulca na bezwzględnych tępicieli zwierzyny — przyszłe generacye będą mieć słuszny żal do swoich ojców za to zaniedbanie.

Handel skórami w Londynie. Jaki wielki jest handel skórami w Londynie, daje o tem pojęcie wykaz skór sprzedanych przez jednę firmę C. M. Lampson i Sp. Firma ta wystawiła na sprzedaż, na targu skór, który trwał tylko trzy dni: 17.000 skór kun, 11.000 skór kun japońskich, 2.000 soboli rosyjskich, 6.000 soboli japońskich, 12.000 japońskich łasic, 76.000 łasic, 12.000 bobrów, 4.500 niedźwiedzi, 27.000 wiewiórek, 80.000 oppossum, 500.000 australskich torbaczy, 114.000 skunksów, 4.000 szarych lisów, 4.000 rysiów, 3.000 żbików, 16.000 lisów japońskich, 2.000 borsuków japońskich, 6.000 kangurów, 16.000 nietoperzy, 1.300 borsuków, 12.000 wilków, 66.000 szopów, 1,036.000 piżmaków, 15.000 zwykłych lisów, 3.500 wyder, 1.800 białych lisów, 170 rosomaków.

Japońska hodowla ptaków stoi na bardzo wysokim stopniu rozwoju. Obecnie wyprodukowano białe szpaki — a mianowicie w ten sposób, że parę szpaków umieszczono w zupełnie białym pokoju, podawano im jadło przez osoby biało ubrane, jednem słowem, usunięto im z przed oczu wszystkie inne kolory. Wpływ tego urządzenia był taki, że po kilku pokoleniach upierzenie szpaków zamieniło się na białe i stale się utrzymuje w następnych pokoleniach.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Józefowicz.